Fragmenty listu Vladimira Kozlova: “Jak mnie przewożono z obwodu północnokazachstańskiego do Ałmaty”

“Spróbuję krótko opisać transport — z kolonii karnej 164/3 (Pietropawłowsk) do kolonii karnej 155/14, od 13 marca 2014 r. do 20 marca 2014 r.. Wszystkie dni, począwszy od 6 marca, przebiegały "na trójce" w nerwowej atmosferze (pilnie napisałem pismo do Komitetu Więziennictwa MSW (KUIS) z wnioskiem o przeniesienie mnie w okolice miejsca zamieszkania, i nawet miałem rekomendację "politycznego"). "Trójka" charakteryzuje się nader dużą skrytością, panuje reżim "nikomu ani słowa"; i dlatego nikt nigdy nie wie, kiedy i co się wydarzy i czy w ogóle cokolwiek z tego, czego człowiek oczekuje, wydarzy się.

Zostałem uprzedzony (przez zeków [więźniów] z tzw. "aktywu" [tych ściśle współpracujących z administracją zakładu]) że gdybym miał być przenoszony, to w pewnym momencie pojawi się kontroler, który zapowie, że na wszystko mam 10 minut, a potem "ruchy, ruchy z klamotami..." Powiedzieli mi jeszcze, że transport z "trójki" zawsze odbywa się w dni, które mają trójkę, czyli 3-go, 13-go i 23-go dnia każdego miesiąca.

Przygotowywałem się na pozytywny scenariusz, pamiętając o tym, że wszystko może się zdarzyć; w środowisku, w którym zapadają decyzje, sposoby na spaczone czerpanie radości z tego, że komuś dzieje się źle, sa czymś normalnym. Rozłożyłem rzeczy. To, co miałem zostawić, włożyłem do osobnych reklamówek, żeby potem łatwo i szybko można było wszystko wyjąć. To samo zrobiłem z żywnością.

Ostatecznie zostawiłem takie rzeczy: elektryczną maszynkę do golenia, trymer, walonki, buty jesienne, adidasy, sporo skarpet, niepotrzebne koszulki, trykot i sporo innych drobiazgów. Tam chłopakom się to przyda, a mnie przecież przenoszą blisko domu... 13 marca napięcie było największe. Czekam. Już wieczór, po 19-tej, zaczął się czas wolny. Cisza. Przychodzi funkcjonariusz: "Ile masz maszynek do golenia, Iwanowicz, nie pamiętasz dokładnie?" (a propos, to był ten sam, który dwa razy "zafundował" mi naganę).

Czyli jednak jadę! On odpowiada za kłujące i ostre przedmioty i na czas transportu musi mi je odebrać i przekazać funkcjonariuszowi do przewiezienia... I wtedy dopiero dotarło do mnie, że prawdopodobieństwo mojego przeniesienia w dniu dzisiejszym właśnie stało się faktem.

Wszystko wydarzyło się tak, jak się spodziewałem. Już koło 21-ej, pod koniec "czasu wolnego" pojawił się kontroler z tymi właśnie słowami, że mam 10 minut, żeby się zebrać. Szybko mi to poszło... Nie udało mi się pożegnać z nikim oprócz dozorcy (który odprowadził mnie do pomieszczenia kontroli); więźniowie z mojego oddziału byli już w barakach przed ostatnią kontrolą, a jak mnie wyprowadzali z baraku, padła komenda, żeby nie patrzeć w moją stronę.

Mojego cichego "Na razie!" zapewne prawie nikt nie usłyszał. Potem przeszukanie w pomieszczeniu kontroli. Razem ze mną przewożą jeszcze dwóch więźniów: dwóch skazanych z Aktobe na postępowanie uzupełniające i jeden chłopak do Ałmaty — na rozprawę w sądzie kasacyjnym, w nadziei, że stamtąd go wypuszczą do domu. Przy wszystkim byli dyżurni operacyjny i do spraw dyscyplinarnych, wszystko odbyło się poprawnie.

Wydali prowiant na drogę: dwa bochenki chleba, dwie puszki "leszcza w sosiewłasnym", saszetki "cukier + sól + herbata". Przy wyjściu z obozu "przejęli" nas funkcjonariusze z więźniarki; atmosfera stała się trochę napięta. I znowu pełne przeszukanie, tym razem już mniej przepisowo. Chłopaki poszli przede mną i w pewnym momencie usłyszałem, jak pod adresem jednego z nich pada: "Teraz już jesteś w mojej władzy, popaprańcu! Ruszaj się!!!"

Zrobiło się nieprzyjemnie, bo ta obelga zabrzmiała zupełnie bez przyczyny. W ten sposób już na początku zakomunikowano nam nowe reguły, zasygnalizowano "granice" wzajemnych relacji. Mnie nie poczęstowano obelgami, ale niewiele to zmieniło w moich odczuciach. Czułem się okropnie.

Po drodze przesadzili nas z jednej więźniarki do innej - więziennej. Tam już byli inni więźniowie Szybko wgramoliliśmy się do już zapełnionego wozu z naszymi torbami, zmuszając innych do „ścieśnienia się”. Więźniowie doświadczeni w przewozach, sprawnie przyjęli i nas, i nasze torby, żeby nie przedłużać tej związanej z przesiadką nerwowej atmosfery , którą konwojenci tworzyli krzykami, kuksańcami w plecy i innymi tego typu rzeczami.

Do "stołypina" (wagonu do transportu więźniów) dojechaliśmy szybko, trwało to nie więcej niż 10-15 minut. W oczekiwaniu na wejście do wagonu, słuchaliśmy ujadania owczarków i krzyków z dwóch konwojów - więźniarki i wagonu. Ludzie ucichli, napięci w oczekiwaniu... Ciemno (około godz. 23-ciej), nic nie widać, a to co słychać – wprawia w przygnębienie... Nagle słychać szczęk zamka więźniarki: "Pierwszy, ruszać się!" - i bluzgi, wrzaski konwojentów. Wsłuchujemy się w każdy dźwięk... I już wiemy, o co chodzi - biją!

To znaczy, co najmniej "witają" gumowanymi kablami; to też jest wstępne zaznajamianie nas z naszą pozycją wobec konwojentów "stołypina" z Pietropawłowska. "Dziewiąty, ruszaj!", to do mnie. Biegnę. W każdej ręce torba. Ciężkawo. Niewygodnie. Do przebiegnięcia mam zaledwie 10-12 metrów razem z zakrętami. Od drzwi więźniarki do przedsionka "stołypina" - kładka, ze 3 metry. Zanim przedostałem się z torbami przez wąskie drzwi więźniarki, już się zdążyłem nasłuchać: bluzgi na przemian z okrzykami "Szybciej!", "Biegiem!", "Zasuwaj!", ujadaniem psów i zgrzytem, szczękiem metalowych elementów "kałaszy"...

Dobiegam do przedsionka wagonu - stoi tam pierwszy konwojent: "Biegiem!". Przeciskam się z torbami przez wąskie zakręty, już widzę drugiego konwojenta, stoi przy otwartych drzwiach bliższej celi: "Tutaj! Biegiem!". Ruszam w tym kierunku - jest. Dostałem. Niezbyt mocne smagnięcie w okolice karku. To był trzeci konwojent - pewnie w taki sposób "liczy" więźniów.

Człowiek przede mną zaklinował się z torbą w wejściu do celi. Rzecz jasna, w celach ludzie byli już ściśnięci jak śledzie w beczce. Co młodsi skaczą na wyższe prycze i tam też wrzucają swoje rzeczy, żeby zwolnić miejsce na dole dla wchodzących. Przedział ma siedem miejsc leżących, na trzech poziomach. Ale wpychają tam (dosłownie) po 20 i więcej ludzi.

Człowieka, który się zaklinował, wpychają tam kilkoma uderzeniami kablem, tym razem już takimi "od serca", ze skrzywioną miną i towarzyszącym efektem głosowym. Ja te jego plecy widziałem następnego dnia - poprzeczna pręga spuchniętej skóry, i to przez ubranie i zimową kurtkę. Wbiegam i ja. Moje torby natychmiast ktoś chwyta i przenosi na górę - rozgarnięte chłopaki, sprawne, dzięki nim udaje się uniknąć kolejnych "gumowanych prezentów z dostawą".

Rozsiedliśmy się jak kto mógł. Po ostatnim rozległ się okrzyk: "Zamykać!" i usłyszeliśmy szczęk zamka. "Nie palić!". Siedzimy. Przedstawiamy się sobie nawzajem. Obok nas prowadzą dwie kobiety. Ale ich tak nie "witają", wszystko odbywa się raczej spokojnie. Za jakiś czas pojawiają się konwojenci: "Będziemy wyczytywać nazwisko, a wy mówicie imię, otczestwo [imie odojcowskie], artykuł, czas odsiadki i system odbywania kary." Rozmowa robi się spokojna, tak jakby to nie ci sami ludzie, którzy kilka minut temu z wykrzywionymi złością twarzami wykrzykiwali obelgi i wymachiwali kablami.

W rękach trzymają plik teczek z naszymi "aktami", na okładkach sa nasze zdjęcia i wszystkie dane. Moje akta to już trzytomowe dzieło - trzy teczki przewiązane sznurkiem. Słyszę swoje nazwisko, więc zaczynam recytować. Latarka w twarz – sprawdzają, czy czy to ja, czy nie ja. Jednak ja. Wszystko w porządku. Chwilę potem „przetasowanie” (przeniesienie do innej celi). Dzielą nas według systemu odbywania kary i miejsca docelowego. W drugiej celi jest nas dziesięciu.

Ruszyliśmy. Jest już dobrze po północy. Podczas rozmowy z konwojentami o tym i owym dowiedzieliśmy się, że jechać będziemy półsiedząc. Pozwolili nam palić. Do Astany jedziemy przez resztę nocy i tam wysiadamy już za dnia, do więzienia. Wieczorem wrócimy do tego samego wagonu - "stołypina" - do tego samego konwoju, i ruszymy do Karagandy. Tego wszystkiego dowiadujemy się od konwojentów.

Półśpimy, siedząc na gołych kuszetkach... Astana. Już jest jasno. Informują nas, że jadący do Karagandy mogą zostawić swoje rzeczy w "stołypinie" i wziąć ze sobą tylko to, co będzie im potrzebne w Astanie. To dobrze. Potem jeszcze raz dotrze do mnie, że to był dobry pomysł z jeszcze innego powodu. Вiorę ze sobą herbatę i cukierki - to zawsze jest potrzebne. Wysiadanie wygląda tak jak i wsiadanie, włącznie z gumowanymi kablami! Tym razem pewnie po to, żebyśmy zrozumieli, że znaleźliśmy się "we władzy konwoju północnokazachstańskiego."

Do więźniarki wpakowaliśmy się łatwej, szybciej, bo bez toreb. Jazda nie trwała długo. Po drodze snujemy przypuszczenia jak nas "powitają" w więzieniu. Nikt nie wie dokładnie, bo tu wszystko się zmienia. Przyjęli nas spokojnie, bez agresji. Rewizja i do cel. W tej celi, do której nas (mnie i tego nieletniego chłopaka, którego wieźli na rozprawę do sądu kasacyjnego w Ałmaty) posłali, było już pięciu innych, wszyscy przejazdem, przyjechali godzinę przed nami, jadąc z "sanatorium" – z leczenia.

W więzieniu w Astanie przesiedzieliśmy do wieczora, potem z rzeczami do wyjścia, rewizja, parę godzin oczekiwania na przepełnionym "dworcu" (cela oczekiwania), a potem więźniarka. Dojechaliśmy i czekamy. Jak będzie tym razem przy wsiadaniu do "stołypina"? "Pierwszy, ruszaj!" i de ja vu... Biją wszystkich, jak leci. Przede mną wsiadał człowiek jadący z "sanatorium" (obozu medycznego), gdzie leczył kręgosłup. I w ten swój chory kręgosłup dostał. Konwojent od serca mu parę razy przyłożył. Słychać było, jak zawył z bólu, a potem krzyk konwojenta: "Zamknij gębę! Przed siebie! Ruszaj!"

Zdążyłem zobaczyć, że w wejściu po obu stronach stoi dwóch z przygotowanymi kablami. Pierwsze uderzenie dostałem w kręgosłup, odruchowo starałem się uchylić, zasłonić się ręką (to było głupio) - dostałem prosto w staw łokciowy i to w takie miejsce, że rękę mi całkiem przetrąciło i długo jeszcze zwisała bezwładnie. Bolało. Z bólu się aż zatrzymałem, złapałem jedną ręką za drugą, a tu już biegnie dwóch z "komitetu powitalnego": "Szybciej! Ruszaj!" I tak dalej...

Jakoś tam dotarłem do celi. Tam już ktoś leży na niższej kuszetce, postękując i też trzymając się za ramię. Sąsiedzi... Coś w stylu "Witajcie we władzy konwoju obwodu północnokazachstańskiego!" Trzecie "przejście" każe spodziewać się czwartego przy wysiadaniu w Karagandzie.

Nasze rzeczy już były w wagonie, więc po powtórzeniu procedury “Nazwisko, imię, otczestwo, artykuł, okres pozbawienia wolności i system odbywania kary” ruszyliśmy. Było około północy. W Karagandzie będziemy o około 3-ej w nocy. Okazuje się, że wrzątku już dawno nie dają w żadnym pociągu. Co najwyżej jest suchy prowiant i woda z więzienia. Coś tam przeżuliśmy, czymś popiliśmy, położyliśmy się na pomalowanych na szaro deskach - jak dobrze, tym razem mamy nawet miejsca leżące.

W wagonie zimno nie jest, kurtka pod głowę — da się wytrzymać... Wydawało mi się, że dopiero co się położyłem a już dojechaliśmy. Karaganda. Ktoś wyciąga z torby grubszy sweter - czeka nas czwarte “przejście”, pożegnanie z konwojem obwodu północnokazachstańskiego. Jeszcze nie wiadomo, co i jak będzie w Karagandzie, poczynając od więźniarki. Różne rzeczy ludzie mówią o obozie w Karagandzie - “KarŁag płonie”, czyli obozy karne i więzienia zaostrzają rygor. Wszyscy przycichli ze strachu i napięcia; niewiedza męczy.

Zaczęły szczekać psy, zaklekotały metalem "kałasze"; i w celach “stołypina” napięcie rośnie. Ale nie objawia się to w żaden sposób - wszyscy milczą, ale to rosnące napięcie prawie elektryzuje powietrze. “Pierwszy, ruszaj!” - i poszło! Wszyscy nasłuchują. Kroki człowieka w korytarzu przyspieszają, bo konwojenci krzyczą: ale to nie takie proste z torbami w rękach, bo przejście jest wąskie. Kroki się zatrzymują - przedsionek i zakręt w kierunku wyjścia. I nieoczekiwany dźwięk “dzyń-bla-bla”, potem kaskada bluzg konwojentów… “Chlast! Bum!” - konwój obwodu północnokazachstańskiego żegna was, życząc Wam wszystkiego dobrego.

Na pożegnanie też biją. A mieliśmy nadzieję, że konwojenci trochę przystopują po tylu ewidentnych “przegięciach” przy wsiadaniu w Astanie, kiedy to wszyscy jak leci dostali lanie, nawet ci wracający z obozu medycznego i osoby w podeszłym wieku. Człowiek, którego walnęli w chory kręgosłup, przez całą drogę leżał, nie wstawał, a i moja ręka jeszcze przez trzy-cztery dni pamiętała głupią reakcję głowy, posyłającą ją na ratunek plecom i tę “serdeczność” konwoju obwodu północnokazachstańskiego. A teraz Karaganda, „droga życia” na odcinku “stołypin”-więźniarka, biegniemy jeden po drugim na komendę.

Ja — “Trzynasty, ruszaj!” — naprzód! Już biegnąc uświadamiam sobie, że w więźniarce będę „siedzieć na stojąco”, sądząc po pojemności cel. Podczas wsiadania ludzie wbijają się tam (dosłownie) z rozbiegu, jak się da, gdzie się da. I dopiero potem się sadowią, rozlokowują rzeczy, rozmawiają… a wszystko w ciemności. Ale to już potem.

Biegnę korytarzem. Już przed wejściem widzę, że dwóch stoi. Twarzy nie rozróżniam, kamuflaż, wszystko szarozielone. Stoją jeden za drugim po obu stronach przejścia. Jeden ma dłuższy kabel, pewnie to “chlast!”. A drugi ma "bum".. A może i na odwrót - to niczego nie zmienia w sumie powstałej z tych dwóch "składników". Jak to się mówi, wszystko jedno czy sową walisz o pień czy pniem o sowę – sowie jest tak samo "przyjemnie", a pniu tak samo obojętne.

Znalazłszy się już w “strefie rażenia” nagle, zupełnie niespodziewanie dla samego siebie, zaczynam manewrować, jak widać ciało pamięta doznania z przeszłości i instynktownie chce ich uniknąć. Zwalniam… kątem oka widzę, że gumowany kabel z najwyższego punktu (nad głową konwojenta) drgnął i znowu zamarł… W tym smomencie ostro przyspieszam i na potylicy czuję, że nie trafi. Pierwszy - chybił. Drugi, przez chwilę przyglądając się tej scenie, też chybił, trafił nie w to miejsce, stracił dokładną kalkulację algorytmu - jestem już na kładce, prowadzącej do więźniarki, a tu nagle do pleców dochodzi niezbyt mocne szturchnięcie, w końcowej zamachnięcia, z towarzyszącym mu "dubeltowym" bluzgiem.

W tym wszystkim nawet zapomniałem o tym, że konwój więźniarki też może szykować dla nas coś “na powitanie”, ale zanim zdążyłem się zorientować co i jak, już siedzę (!) na ławce. Okazuje się, że to już druga więźniarka i jestem w niej jednym z pierwszych. Co więcej, są spokojni, zachowują się bez zarzutu, czyli "na uprzejmego".

Do środka więźniarki wbiegają kolejni jeden za drugim, zajmują miejsca. Dla wszystkich wystarczyło. Napięcie spada, pojawia się dobry humor, dzielimy się wrażeniami z “pożegnania” z konwojem obwodu północnokazachstańskiego. Okazuje się, że ten dziwny dźwięk “dzyń-bla-bla” wydał ten nieco dłuższy kabel, trafiając w plafon na suficie, co oczywiście skończyło żywot plafonu. Wszyscy się cieszą: co konwojowi nie w smak, to dla więźnia miód na duszę.

A że ta reguła ma swoje uzasadnienie w jej pierwotnej odwrotności, to cóż mi tam, i ja się cieszę. Jedziemy. Konwojenci więźniarki karagandyjskiej ziewają, milczą. Początek czwartego dnia. Przy wejściu do naszej celi (w pojeździe są dwa pomieszczenia, a do każdego można “upchnąć” po 15-16 osób i jedna „klatka” na jedną osobę — zwykle dla „cwela”, albo „byłego psa”, , albo kobiety) — leży pies. Po kolorze sierści podejrzewam, że owczarek wschodnioeuropejski, ale z rozmiaru wnoszę, że jego mama musiała zgrzeszyć z niedźwiedziem..

Po przyjeździe do więzienia przekazują nas “z rąk do rąk” również w spokoju i milczeniu. Nie ma krzyków, obelg i tego typu rzeczy. To dobrze. Dość szybko (jak na 4-tą rano) przechodzimy rewizję; tutaj przeglądają też nasze torby, jak na lotnisku, przy użyciu takiej samej technologii. Kładę torbę na taśmę, torba znika w maszynie, funkcjonariusz sobie wszystko obejrzał na ekranie i torba wróciła.

Do celi trafiamy dopiero o 05:45. Dokładnie zapamiętałem godzinę, bo tutaj o 6 rano jest pobudka i potem już się nie śpi. Ledwo co się rozlokowaliśmy, a już przyszli po mnie. Prowadzą mnie do świeżo odnowionej celi, w której przez wszystkie dni do kolejnego transportu - od 15 do 19 marca - będę sam. Cisza. Jeść dają dobrze. Słucham radia. Czasem karmię rodzinę szczurów za oknem. One sobie tam sobie na podwórku urzędują.

Rozmawiać praktycznie nie ma z kim, tyle co kilka zdań zamieniłem z kontrolerem i tyle. Poszedłem się ogolić - pierwszy raz od półtora roku w gorącej (!) wodzie. Dziewiętnastego, w porze obiadu zaprowadzili mnie do transportu, teraz już do Ałmaty. Rewizja, "dworzec", więźniarka. Koło szóstej wieczorem. Jesteśmy już na dworcu, czekamy. Okazuje się, że nasz pociąg nie przyjeżdża na pierwszy tor, więc nie uda się przejść prosto z więźniarki po kładce do “stołypina”.

Konwojenci tworzą korytarz - dwa rzędy chłopaków z automatami i z psami, między którymi mamy szybko przemieścić się z więźniarki do wagonu. Zwykle towarzyszy temu podwyższona nerwowość obu konwojów, ale tym razem wszystko odbywa się bez nerwów.

Przychodzi moja kolej. Torby rzucam z więźniarki na ziemię, potem wyskakuję ja. Torby do rąk i naprzód, przez dwa perony, z piętnaście metrów, szybko. Przebiegłem. Torby na górę do “stołypina”. Tu nie ma schodków, od razu jest podłoga wagonu. Złapałem za uchwyty i w podciągnąłem się do góry. Konwojent podał rękę, pomógł wsiąść. Pałki w rękach mają, ale używają ich tylko do pokazywania, dokąd mamy iść i lekko nas nimi dotykają przy liczeniu: “Pierwszy, drugi…”

Ałmacki konwój! Jestem w domu! Wtedy nagle do mnie dotarło, że jestem ałmatczykiem i jadę prawie do domu. Spokojnie się rozsiedliśmy, spokojnie ruszyliśmy. I to wszystko po tym, jak podobno niedawno jeden “bezmózgi” więzień napadł na konwojenta, próbował odebrać mu pistolet i go ranili, czy nawet zabili. Ale my jechaliśmy z godnością, bez ekscesów.”